

Pożądanie

Pożądanie

Cetnarowski Kańtoch
MałECKI Nowak Orbitowski
Prandzioch Przybytek
Rogoża Szostak Twardoch
Urbaniuk Żulczyk



powergraph

Warszawa 2013

Copyright © 2013 by Wit Szostak, Anna Kańtoch, Jakub Nowak, Michał Cetnarowski,
Jakub Małecki, Bernadeta Prandzioch, Piotr Rogoża, Łukasz Orbitowski, Szczepan
Twardoch, Marcin Przybyłek, Jarosław Urbaniuk, Jakub Żulczyk

Copyright © 2013 by Powergraph

Copyright © 2013 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Ilustracja na I okładce: EyesOn via istockphoto

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26

powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-68-4

Printed in Poland, EU

Wit Szostak

Koźłeta gazeli

Mury rozgrzane, na kampusie coraz mniej studentów. Dziś ostatni egzamin, potem zasłużone wakacje. Najchętniej bym nie przychodził, ale uprosili mnie, żeby robić termin poprawkowy przed wrześniem. A ja uległem, jak zawsze, stanowczość zachowując na bezsilne monologi, wygłaszane w myślach. Tylko w swoim towarzystwie potrafię być bezlitosny.

Lipiec rozedrgany, wszędzie dojrzała, ciemna zieleń. Spotykam kolegów, pozdrawiamy się ze smutnym uśmiechem galerników. Nie chce mi się z nimi rozmawiać. Zaczną opowiadać o swych planach, zawsze nudnych. Tylko się uśmiecham.

W sali ciepło, klimatyzacja nie działa. Godzina, wytrzymam. Na podłodze złociste tafle światła. Zadaję tematy i zaczynam swój spacer wzdłuż ławek. Ubrani odświętnie studenci pochylają się nad kartkami, pomiędzy nimi pełno pustych miejsc. Młodzi chłopcy w sztucznych czarnych garniturach, pamiątki z matury. Źle skrojone marynarki błyszczą tandetnie, chłopcy się pocą, smętne krawaty uwierają ich pod szyją.

Studentek mniej, ale ciekawsze, pochylone nad blatem, jasne bluzki z dekolcami. Letnia sesja, lubię. Niewinnie muskam wzrokiem skrawki piękna. Z bliska widać obgryzione paznokcie, niezdrową cerę, makijaż zrobiony niewprawną ręką. Mają czas, to pierwszy rok. Szkoda, że ich już nie spotkam. Może czasem ukłonią się, idąc przez kampus. Tylko co mi z tego?

Gruby blondyn pod oknem nieudolnie ściąga. Stoję kilka kroków za nim, a ten trwożliwie rozgląda się, tłamsi w spoczonej dłoni zwitek z cennymi informacjami. Bawię się z nim przez chwilę, muszę jakoś zabić tę godzinę. Mijam go, udając, że nic nie widzę. Ten się prostuje, wzrok utkwiony w suficie, jakby myślał, gryzie długopis. Okrażam salę. Czuje się bezpiecznie, podkłada ściąge pod kartkę i intensywnie pisze. Przysiadam na parapecie i czekam, aby uderzyć. Jeszcze czas. Ruszam bezgłośnie, nie zauważa mnie. Kiedy go mijam, w popłochu maskuje swe oszustwo, ale ja znów udaję, że nic nie widzę. Słyszę oddech ulgi, darowane życie. I żadnych wniosków. Za trzecim razem wyłuskuję ściąge, udaję oburzenie. Wpisuję pałę i grubasek kończy egzamin. Kwadrans minął, jeszcze trzy. Kto następny?

W pierwszej ławce piękna studentka. Piękna. Dlaczego nie zwróciłem uwagi wcześniej? Miałem cały semestr. Wykłady są nieobowiązkowe, dlatego.

Piękna. Orzechowe włosy, ciemne oczy, opalona skóra. Nie garbi się, nie krzywi nad kartką. Pisze niewiele, spokojnie, co chwila przerywa. Pewnie będę musiał ją oblać. Szkoda. Krążę po sali, mijam ją często.

Pochyliła się lekko, widzę odsłonięte łądzwie i delikatny rowek. Nie mogę się zatrzymywać. Może inni patrzą? Puste miejsce po grubasku, reszta skupiona nad kartkami.

Przezesuje włosy, odchyła głowę i pije wodę mineralną. Ja tylko patrzę, ukradkiem. Jeszcze pół godziny. Przeciąga się, kręci głową. Wie, że patrzę? Siedzę nieco z tyłu, oparty o parapet. Udaję, że podziwiam kasztany. Jak wygląda nago?

Jutro na wakacje, zasłużone. Dlaczego zasłużone? Pusty frazes.

Południe, plaża, byle dalej.

* * *

Dobre lato, takiego potrzebowałem.

Lotnisko w Maladze nieprzyjemne, uciekłem od razu. Tłum ludzi spragnionych urlopu, nie chcę być jednym z nich. Rodziny pełne nadziei, że plaża uzdrowi ich życie. Słomkowe kapelusze, klapki i kolorowe podkoszulki. Polska mowa, uciekam.

Samochodem nad Atlantyck. Wybrzeże, po drodze Gibraltar, a potem przez interior w stronę Kadyksu. Oderwać się i zapomnieć.

Miasteczko C. pod Kadyksem, na skraju Atlantyku. Kościółek, stara latarnia morska, niewielka przystań. Kiedyś rybacka osada, teraz hotele i kempingi wśród pinii. Targ rybny, to ważne. I plaże, kilometry plaż, aż do Trafalgaru.

Mieszkam za miastem, do plaży kilka kilometrów. Skromny pensjonat, nie ma basenu i zgrzebnie. Mam pokój z osobnym wejściem, schludnie i czysto. Na stole pod oknem postawiłem netbook. I tak nic nie napiszę. Nie ten czas, muszę odpocząć. Tylko dziennik, choćby kilka zdań. Niewielki taras, ogrodowe krzesło i stolik z popielniczką. Może wrócę do palenia?

Od razu nad morze. Pełno ludzi, dzieci ubabrane w piasku. Ładne dziewczyny, wszyscy radośni. Ocean wspania-

ły, ale jeszcze się go boję. Nie mogę się kąpać pierwszego dnia. Muszę się oswoić. Zmoczyłem nogi, potem trochę pospacerowałem brzegiem. Kąpiel jutro, jeszcze będzie czas. Wypatrzyłem spokojną zatoczkę. Trochę naturystów, trochę ubranych. Tu będę przychodził. Spokój.

Wieczorem spacer po miasteczku. Gorące ulice, wszystko zastyga, dopiero nocą budzi się życie. Stoły na placach i wzdłuż uliczek, pełno Hiszpanów. Lubię ten gwar, mogę się wtopić i zostać niezauważonym. Siadam przy niewielkim stoliku, zamawiam jamón ibérico, do tego tempranillo. Dookoła mnie ludzie, całe rodziny, jakieś dziecko płacze w wózku. Jest północ, ale nikomu to nie przeszkadza. Kryzys? W C. tego nie widać. Może dla niektórych to ostatnie wakacje?

Wieczorami jest tak rześko. Wracam piechotą, mam czas.

Półmisek lokalnych wędlin – 12 euro; butelka wina – 10.

Przed snem: masturbacja, prysznic, mail do B., 50 stron lektury.

* * *

Nie chcę nic zwiedzać, nie za dużo, tylko leżeć beczynnie i patrzeć na morze. Chwile kąpią, tak wolno, tak dobrze. Ładny poranek, trochę chmur. Upał dopiero nadejdzie.

Pierwsze zakupy, jeszcze przed śniadaniem. W hali targowej gwar, świeże ryby i owoce morza. Chodzę i chłonę zapachy. W jednej alejce mięso, w drugiej owoce. Kupuję ser z Manchy, pomidory, oliwki i ośmiornicę. W markecie dokupuję dodatki – oliwa, sól i wino. Na razie wystarczy. Przed wejściem stary mężczyzna sprzedaje owoce opuncji. Wygląda jak z dawnych zdjęć – nieogolona twarz, mądre spojrzenie, postrzępiony kaszkiet. Tylko na splekanych stopach klapki Reeboka. Uśmiecham się i mijam go bez

słowa. Odprowadza mnie wzrokiem bez cienia zawodu. Miał wiele lat, by poznać swe życie.

Butelka przyzwoitego wina – 7 euro; woda mineralna 1,5 litra – 1 euro; słoiczek oliwek – 3 euro; bagietka – 1,5 euro.

W mieście pusto, wszyscy na plaży. Czasem przemknie skuter lub przejdą rozgadane nastolatki. Wszystkie podobne do siebie, za nimi opaleni chłopcy, każdy taki sam.

W pokoju kroję pomidory, polewam oliwą i mam śniadanie. Między mną a morzem skoszone pola, łagodne wzgórza. W oddali granatowa smuga, widzę fale.

Pierwsze plażowanie, trzeba uważać ze słońcem. Wybrałem wnękę pod klifem, łagodny cień. Nie ma tłumy, to dobrze. Kilku samotnych mężczyzn, trzy albo cztery pary, rodzina z dzieckiem. Stoję obok ręcznika i w końcu ściągam kąpielówki. Lubię to uczucie. Chwila lęku, ale nikt nie patrzy, tu każdy ma swoje ciało i swoją nagość. Brzegiem spaceruje przystojny mężczyzna o budowie piłkarza. Dłonie oparł na biodrach i przechadza się jak przywódca stada. Omiata wzrokiem nagie ciała, zatrzymując się na ułamek sekundy nad każdym. Władczo, bez podniecenia, nieco znudzony. A potem staje wyprostowany w wodzie, patrzy w morze i pozwala, by kobiety go podziwiała. Jest piękny jak starożytny bóg.

Trzy tęgie matki bez dzieci, ślady po cesarskich cięciach. Wolne, nagie, ładne. Trzy Gracje. Patrzę na nie, a one dają na siebie patrzeć. Po to tu przyszły. Śmieją się i żartują po hiszpańsku.

Idę do oceanu, biały i zawstydzony. Ale kiedy zanurzam się w słoną wodę, czuję radość. Przyjemny chłód, płynę, jest płytko. Z morza widzę, jak na szczycie klifu przystają podglądacze i ciekawie wychylają się w dół. Niewiele widzą, a ryzykują życie. Po chwili ruszają dalej; mali, podnieceni wędrowcy.

Przewodnik stada znudzony zadziera głowę. W jego oczach ta sama pogarda, którą mają goryle w zoo.

Czas kapie leniwie, nie mogę się skupić na lekturze. Akapity upływają wolno, co chwila podnoszę wzrok i zawieszam go na kobiecych piersiach. Piękny brak skrepowania, chwilę patrzę i wracam do lektury. Godziny mijają, a ja powoli wchodzę w ten spokojny rytm. Nigdzie się nie śpieszę, nie jestem głodny, nawet nie chce mi się pić. Wypoczywam.

Mieszkam za miastem, błogosławiony spokój. Gospodyni to starsza kobieta, samotna, wynajmuje pokoje letnikom. Kiedyś musiała się podobać mężczyznom, teraz wzdycha głośno co kilka minut. O czym myśli? Pusto trochę u niej. Mieszka na dole, nie wyłącza telewizora i ciągle rozmawia przez telefon. Ta wspaniała chrypka! Wieczorami przemawia do kotów, które wskakują na ogrodowy stolik, gdzie popija jerez. Żali się, to słyhać w tonacji. Wymieniamy uśmiechy, mijając się w korytarzu. Wdowa czy rozwiedziona? Bez znaczenia.

Wieczorem zjadłem cały talerz ośmiornicy po galijsku. Do tego wino i spokojne trwanie na moim tarasie. Gospodyni zniknęła w środku, telewizor przycichł. Kolejny samotny urlop, B. z dziećmi u teściów. Musimy od siebie odpocząć, a ja lubię tę pustkę wokoło. Cisza sprawia, że przestaję być sobą. Przez tydzień będę żył innym życiem. Chodzę ulicami andaluzyjskich miasteczek i jestem kimś innym – samotnym, czterdziestoletnim turystą.

Obraćka została w Polsce, słońce szybko opala jasną bliznę.

Koszt kolacji – 13 euro; ośmiornica droga, ale warto.

Przed snem: obcinanie paznokci u nóg, prysznic, 75 stron lektury.

Na plaży pojawiły się dwie nowe dziewczyny. Weszły między nagich ludzi pewnym krokiem, choć rozglądały się z zaciekawieniem, pewnie pierwszy raz. Jedna szczupła, nieco pałakowata, ale zgrabna. Druga piękna. Pierwsza została w kostiumie, a druga ściągnęła stanik i od razu pobiegła do morza. Wpadła w wodę, rozchlapując wszystko na boki. Przywódca stada stał nieruchomo kilkadziesiąt kroków od niej.

Kiedy wychodziła, wykręcając włosy, nie mogłem odebrać wzroku. Piersi jak dwoje koźląt, bliźniąt gazeli, skóra z kropelkami słonej wody. Czasza okrągła, pełna wina korzennego, baszta Libanu. Wychodziła świadoma swej urody, pewna siebie, zuchwała, Gazela.

Miała wszystko. Niczego nie musiała się uczyć. Ruchy, gesty, leniwe przeciąganie się w słońcu. Siadła na ręczniku, nasmarowała ciało kremem i potem leżała nieruchomo przez godzinę.

Druga czytała książkę, spacerowała, szukając muszelek. Była cicha i dyskretna, jak tło. Dobrze rozumiała swoją rolę.

A Gazela promieniała. Nie musiała nic robić, a i tak świat kręcił się wokół niej. Kiedy siadała, kiwała nogą, ze śmiechem trącała koleżankę, była panią świata. Nonszalancja młodej kobiety, która wie, że jest piękna. A wszystko bez cienia wulgarności. Rzadki okaz. Przywódca stada wycofał się do swej partnerki, schowanej pomiędzy skałami. Nigdy jej nie widziałem, chronił ją dobrze.

Czasem mijały nas wycieczki brodzące przy brzegu, odprowadzane przez nas znudzonymi spojrzeniami. Nigdy nie zatrzymywały się na dłużej. Wszystko wokół nieważne, patrzyłem na Gazele.

Pewnie studentka, plażowe lektury na czytniku. Co czytała? O czym myślała? Wyobrażałem sobie inteligent-

ną dziewczynę, zaczytaną w dobrej powieści. Pewnie ma skandynawskie kryminały i studiuje zarządzanie. Dlaczego zarządzanie? O czym myśli?

Wieczór w rybnej restauracji poza miastem. Znakomita zupa z owoców morza; gęsta, intensywna, ostra. Potem talerz langustynek. Dookoła ciszej, inaczej niż w C. Rzeński wiatr od morza. Spacer do domu i papieros na tarasie. Wypoczywam.

Zupa rybna – 8 euro; langustynki – 13 euro; karafka wina (b. dobre!) – 7 euro.

Przed snem: butelka wina, masturbacja, prysznic, masturbacja.

* * *

Dzisiaj Sewilla. Bez entuzjazmu, ale trzeba. Dlaczego trzeba? Przymus zwiedzania, kiedy wreszcie się wyleczę?

Rankiem pomidory z oliwą, trochę sera i wsiałam w samochód. Kłopoty z parkowaniem, naganiacze za dwa euro prowadzą mnie do zaułka, gdzie zostawiam wóz pod platanem. Uśmiechają się i dziękują.

Mosty nad Gwadalkiwirem, po drugiej stronie Triana. Po co tu przyjechałem? Chodzę bez celu uliczkami, omijam katedrę i ważne muzea. Wszędzie wycieczki, zachwycone tym, czym powinny się zachwycać. Kamery, aparaty fotograficzne, co chwila wchodzę w kadr. Na ilu zdjęciach się znajduję? Nieznajomy mężczyzna uchwycony przypadkiem.

Dobry temat na opowiadanie. Historia mężczyzny, który wchodził w kadr, a potem w internecie mozolnie wyszukiwał, do ilu wakacyjnych albumów trafił. Cieszył się z każdego odkrycia, nieświadomie powielony przez anonimowych turystów. Potem pisał do nich maile, przedstawiał się i nawiązywał znajomość. Notuję na marginesie planu miasta. Po co? I tak tego nie napiszę. Nie mam talentu M.

Ale przez chwilę czuję się pisarzem. Pisarz w Sewilli podgląda życie. Drobne przyjemności, które dajemy sobie sami.

W zacienionej knajpce kawa, nie tak dobra jak we Włoszech, ale kawa. Cichy zaulek, turyści tu nie zaglądają. Zamiast Sewilli Gazela, nie mogę się skupić.

Sewilla ma swoje dzisiaj, to mi się podoba. Większość miast to przybudówki do ruin, strażnice dawnych budowli. Tu jest inaczej. Targi, wystawy światowe, widać współczesność. Ale oczywiście są sklepy z pamiątkami, gipsowe figurki Giraldy, imitacja ceramiki, tandeta. Kto to kupuje? Po co?

Przyłapany przez siebie na tym, że oglądam świat z myślą, jak to później opisać w dzienniku; Sewilla do przerobienia w kilka nonszalanckich zdań. Żalose. Własne. Nieuchronne.

W Muzeum Sztuk Pięknych nie ma nikogo, przemierzam puste patia. Najpierw chwila pogardy dla turystów, że omijają, ale zaraz refleksja: też nie chcę tu być, tęsknię za plażą. Oszukuję się, że ja mam prawo wybrać plażę, a oni, prymitywna banda, nie. Kilka minut przed Velazquezem. Ładny, idę dalej. Zurbaran poniżej oczekiwań, Murillo przereklamowany.

Stary cap, a apodyktyczność sądów jak u nastolatka! Mogę skrytykować, to krytykuję, przez chwilę mam władzę. Zurbaran poniżej oczekiwań. Kim jestem? Żalose, żaloseny; przynajmniej nikt nie widzi.

Siadam na placu, obok starzy Hiszpanie nad jerezem. Każdy sam przy swoim stoliczku, nieruchomy, poważny. Zamawiam to samo i czuję się jednym z nich. Siedzę godzinę, nic nie robię, czasem zawieszę wzrok na jakimś przechodniu. Wszystko spowolnione, upał stoi w miejscu. Jestem człowiekiem Śródziemnomorza, otwieram się na

leniwie kąpiący czas. Jestem? Po chwili mam dość, godzina trwała pięć minut. Płaczę i wychodzę, nieco zawiedziony.

Z powrotem do C., duża ulga. Już widzę te zdziwione spojrzenia przyjaciół: „Nie byłeś w Katedrze? Nie byłeś w Alkazarze?”. Wielkie litery będzie słycać nawet w pełnej wyrzutu intonacji.

Wczesny wieczór na plaży. Pusto, pojedyncze osoby. Przegapiłem odpowiedni czas, melancholia zachodu słońca, dzień zmarnowany. To poczucie, że przyszło się spóźnionym, że coś ważnego człowieka ominęło. Na nierównym piasku ślady po ręcznikach i odciski stóp. Szukam, gdzie leżała Gazela. Przyływ pożera kolejne skały. Uciekam.

Odbiję sobie w Polsce, kiedy rzucę w towarzystwie: „Byłem w Sewilli”. Kilka chwil radości, kilka chwil cudzej zazdrości. Czy na pewno? Dziś każdy może.

Wieczór w towarzystwie wina. Nie chce mi się iść między ludzi, jem suchą bułkę z oliwą. Pieczywo dobre, lecz nietrwałe.

Kawa w Sewilli – 1,5 euro; kieliszek jerezu – 3 euro; benzyna – 1,47 euro za litr; wstęp do Muzeum Sztuk Pięknych – dla obywateli Unii Europejskiej za darmo.

Przed snem: masturbacja, mail do B., mail do W., mail do Z., prysznic, lektura dziennika. Ciche zadowolenie.

* * *

Znowu przyszły, jakby zaspane, ziewając. Gazela rozglądnęła się po plaży i odważnie zdjęła majtki. A potem szybko pobiegła do morza, wołając koleżankę. Czuję, że coś przegapiłem. Może zrobiła to już wczoraj? A mnie przy tym nie było. Ten wstyd, rozglądanie się po plaży, ociąganie, potem decyzja. Przegapiłem, pierdolona Sewilla. Było warto?

Koleżanka cicha, zaczytana. Czekałem na powrót Gazeli i ona też czekała. Patrzyła co chwila znad książki w stronę morza. Patrzyła tak samo jak ja. A tamta nic nie wiedziała! Kiedy wracała, bezwstydna i piękna, stawała nad swą nieśmiałą towarzyszką i coś mówiła, śmiejąc się, a tamta odwracała wstydliwie wzrok. Ona ociekała słoną wodą, gładka, blada w miejscach zakrytych wcześniej kostiumem. Jakby nieświadoma, że koleżanka jej pożąda.

Na kolację paella z owocami morza. Brak słów.

Cały wieczór w C., wędrówka między stolikami w poszukiwaniu Gazeli. Może będą? Może je spotkam? Gwar i tłum, drażnią mnie Hiszpanie. Nie ma Gazeli, jestem sam w obcym mieście. Miasteczku.

Paella – 10 euro; karafka domowego wina – 5 euro.

Przed snem dużo wina i masturbacja. I masturbacja. Jest dobrze, jest dobrze. Takich wakacji potrzebowałem.

* * *

Po śniadaniu zakupy, potem na plażę. Są.

Rozkładałam się w pośpiechu i patrzę.

Gazela wychodzi z wody, linia bioder jak kolia, dzieło rąk mistrza. Teraz ona rządzi plażą. Spaceruje, mija ludzi, zagaduje. Przywódca stada po drugiej stronie, podchodzi do niego, chwilę rozmawiają. Bóg i bogini, nadzy i piękni. Śmieją się, on pokazuje w kierunku skałek, znowu śmiech, Gazela teatralnie rozkłada ręce. Ona odchodzi kilka kroków i siada na brzegu. Wokoło piana i lekkie fale, cichy szum. Potem woła koleżankę i idą się kąpać. Długo stoją blisko siebie, z dala od brzegu, zanurzone po szyję. Po wyjściu smarują się nawzajem, oglądają opaleniznę. Gazela rozpina towarzyszcę stanik, ta się broni, ale w końcu chowa go do torby. Śmiech. Potem leżą w bez-

ruchu, wpatrzone w niebo. Pojedyncze chmury, błękit, Atlantyk.

Nie będę znowu tropił ich w C.

Wieczór w Kadyksie. Piękne miasto, dzikie i dumne. Na ulicach sterty śmieci, porozrywane worki, nikomu to nie przeszkadza, mijamy je wszyscy z obojętnością. Mury starej katedry wychłostane morskimi wiatrami, kamień przez wieki wydlubowany słonymi podmuchami. Dotykam zbyt mocno, ranię się w palec.

Na ulicy procesja, niosą podświetloną figurę Matki Boskiej, orkiestra dęta i dostojnie maszerujące kobiety, wachlujące co chwila dekolty. Wszyscy skupieni, ale w przerwach rozmawiają. Sacrum i profanum. W muzeum malarstwa wspaniałe obrazy Zurbarana z pobliskiej kartuzji. Biali mnisi, męczennicy, ostre kontrasty. Ale ja ciągle o Gazeli.

Kolacja mi nie smakowała, przypalone jagnięce kotlecki i wino o mulistym smaku. Pierwsze rozczarowanie lokalną kuchnią. Wszyscy dookoła zachwyceni, rozgadani. Przedarłem się przez spacerujący wzdłuż nabrzeża tłum i wróciłem do C.

Jagnięcina – 17 euro (w zestawie frytki i sałatka).

Przed snem: dwie butelki wina, obcinanie paznokci u rąk, prysznic, golenie. Kłopoty z masturbacją, kłopoty z zaśnięciem.

* * *

Nad ranem sen. Idę plażą i widzę Gazelę. Macha w moim kierunku, brnę przez piaski, jest coraz dalej. Jesteśmy sami, wokół miotane przez wiatr parasole. Siedzi na ręczniku, po turecku, kciukami uciska pępek. Czuję, że chce mi coś pokazać. Nachylam się, ona nago obok mnie, czuję podniecenie. Nachylam się niżej, niemal

dotykam nosem jej skóry, drobne włoski, piasek. Ona dalej uciska pępek i nagle wypływa z niego gęsta maź. Uciekam, a ona krzyczy: pomóż mi! Uciekam, ona się śmieje, budzę się.

Nie ma Gazeli. Cały dzień na plaży bez niej. Może pojechały zwiedzać? Godziny rozciągnięte pomiędzy lekturą i tęsknym wzrokiem. I ta nadzieja, że przyjdzie, że na pewno przyjdzie.

Wokoło ci sami ludzie, kłaniamy się już sobie, nie znamy swych imion. Wystarczy. Znowu przyszły trzy Gracje, teraz leżą blisko mnie. Gdy nie ma Gazeli, dalej mogą być piękne. Zerkam na schody, które prowadzą na szczyt klifu, nie ma nikogo. Co chwila zerkam, nie przychodzą.

Dzień zmarnowany.

Nagle trzy Gracje w śmiech i zaczynają ubierać się w pośpiechu. Szukanie majtek na czworakach, wszędzie pełno piasku. Od strony skał biegną dzieci, matki biorą je w ramiona. Potem trzej mężowie, brzuchy, łańcuchy, długie kąpielówki, opalenizna. Gracje gotowe, niewinne, w dwuczęściowych kostiumach. Po chwili wszyscy odchodzą.

Wieczorem w C., łapię się na tym, że znowu szukam jej wzrokiem. Wreszcie są, przy stoliku, we dwie, Gazela w rudej sukience. Siadam niedaleko, odwrócony i słucham. Polki. Gazela ciągle mówi, druga słucha. Coraz mniej mnie to interesuje. Dlaczego? Egzamin, studia, kłopoty w domu, jakaś praca w wakacje. Co mnie to obchodzi? Wygląda inaczej niż na plaży, jest nie na miejscu. Nie potrafię tego dobrze ująć w słowa (pokreślony fragment w dzienniku). Nadal piękna, ale pomiędzy ubranymi ludźmi taka zwyczajna. Druga promienieje, Gazela nazywa ją Karolą. Karola ciekawsza, potrafi słuchać, inteligentnie odpowiada.

Jem swoje, gęstą potrawkę z byczego ogona. Po godzinie wstają, Gazela trąca przypadkiem mój stołek. Przeprasza, przygląda się i zagaduje po angielsku:

— Czy my się nie znamy z plaży?

— Nie znamy — odpowiadam uprzejmie.

Patrzę, jak odchodzą, tłum zamyka się za nimi.

Byczy ogon — 15 euro; butelka dobrego wina w restauracji — 9 euro.

Przed snem: masturbacja, mail do B., masturbacja.

* * *

Miałem jechać do Jerez, ale znowu plaża. Zmieniłem miejsce, by nie spotkać Gazeli. Po co wczoraj kłamałem? Nie kłamałem, nie znamy się. Oglądam tylko codziennie jej nagość. Chowam się między skałki. Nie widać mnie, ja też niewiele widzę. Od razu zaskoczenie: partnerka przywódcy stada jest smutnym, bladym mężczyzną.

Dzień lektur, co jakiś czas kąpiel w oceanie. Zасыpiam w cieniu klifu.

Nade mną Gazela.

— A więc jednak się znamy.

Budzę się. Stoi naga nade mną, nogi lekko rozstawione. Wie, że patrzę.

— A więc jednak się znamy — powtarza po polsku, schylając się po moją książkę. — Pamuk? Nie lubię.

Chcę powiedzieć, że też nie lubię, ale rezygnuję.

Kucając, trąca mnie kolanami. Krótki, perlisty śmiech. Kuca, a ja się gapię, złocista brzoskwinia. Dopiero teraz dostrzegam, że ma kolczyk. Obracam się na brzuch, jest lepiej. Chwilę rozmawiamy, krótka prezentacja, zwyczajowe puszenie się. Jakiś żart o Polakach za granicą, śmiech. Potem Gazela proponuje spacer brzegiem. Idziemy, każde z rękami założonymi na plecach. Nadzy perypatetycy.